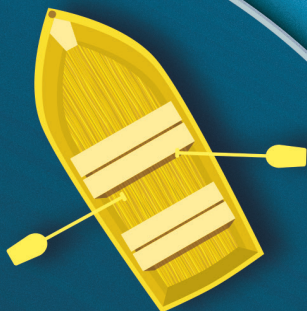




YANN
MARTEL

Życie Pi

Powieść zdobywcy Nagrody Bookera,
sprzedana w nakładzie sięgającym
20 milionów egzemplarzy.
Ponadczasowa opowieść o sile
przetrwania i nadziei.



Tytuł oryginału:
LIFE OF PI

Copyright © Yann Martel 2001
All rights reserved
By arrangement with Westwood Creative Artists Ltd
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2012

Redakcja: Ewa Pawłowska

Ilustracje na okładce: graphit/Shutterstock.com (*łódka*),
Chipmunk131/Shutterstock.com (*chłopiec*), shlyapanama/Shutterstock.com (*tłło*)

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ 1

Cierpienia, których doznałem, pozostawiły we mnie smutek i przygnębienie.

Do życia powoli przywróciły mnie studia i odprawiane z całą świadomością praktyki religijne. Wróciłem bowiem do moich dziwacznych dla niektórych praktyk religijnych. Po roku nauki w szkole średniej wstąpiłem na uniwersytet w Toronto i podjąłem studia na dwóch kierunkach, religioznawstwie i zoologii. Moja praca dyplomowa z religioznawstwa dotyczyła pewnych aspektów kosmogonicznej teorii Izaaka Lurii, wybitnego szesnastowiecznego kabalisty z Safedu. Praca z zoologii była natomiast poświęcona funkcjonalnej analizie tarczycy leniwca trójpalczastego. Wybrałem to zwierzę dlatego, że jego usposobienie – łagodne, spokojne, jakby introspektywne – działało kojąco na moją umęczoną duszę.

W przyrodzie występują leniwce dwu- i trójpalczaste, w zależności od budowy przednich kończyn, ponieważ u tylnych wszystkie leniwce mają trzy pazury. Pewnego lata dopisało mi szczęście i mogłem obserwować leniwca trójpalczastego *in situ*, w brazylijskiej dżungli równikowej.

To bardzo intrygujące stworzenie. Jego główną cechą jest nieruchawość. Śpi albo odpoczywa średnio dwadzieścia godzin na dobę. Nasz zespół badał sen pięciu dzikich leniwców trójpalczastych, umieszczając na ich łbach wczesnym wieczorem, gdy zasypiały, czerwone plastikowe miseczki z wodą. Następnego ranka znajdowaliśmy naczynia na miejscu, tyle że z mnóstwem insektów w wodzie. Leniwiec jest najbardziej aktywny o zachodzie słońca, choć słowa „aktywność” nie należy tu rozumieć dosłownie. Ponieważ wówczas zwierzę jedynie przesuwają się po gałęzi w typowej dla siebie pozycji wiszącej, z łbem na dół, pokonując około czterystu metrów na godzinę. Na ziemi leniwiec przemieszcza się od drzewa do drzewa z szybkością dwustu pięćdziesięciu metrów na godzinę, i to wtedy, gdy jest zmotywowany, czyli czterysta czterdzieści razy wolniej niż zmotywowany gepard.

Leniwiec trójpalczasty słabo orientuje się w świecie zewnętrznym. W skali od dwóch do dziesięciu, w której dwa oznacza wyjątkową tępotę, a dziesięć – nadzwyczajną ostrość, Beebe (1926) ocenił zmysł smaku, dotyku, wzroku i słuchu tego zwierzęcia na dwójkę, a zmysł zapachu – na trójkę. Jeśli natkniemy się w warunkach naturalnych na śpiącego leniwca trójpalczastego, dwa – trzy dźwięki powinny go obudzić; wtedy rozejrzy się sennie we wszystkie strony, tylko nie spojrzy w naszą. Po co w ogóle rozgląda się wokół siebie, nie wiadomo, skoro widzi wszystko niewyraźnie, w postaci zamazanych plam, jak pan Magoo. Jeśli chodzi o słuch, leniwiec jest nie tyle głuchy, ile obojętny na dźwięk. Beebe stwierdził, że wystrzały z broni tuż obok śpiących albo pożywiających się leniwców nie wywołują prawie żadnej reakcji z ich strony. Nieco lepiej rozwiniętego u leniwca zmysłu smaku też nie należy przeceniać. Podobno zwierzęta te potrafią wyczuć przegniłe gałęzie i ich unikać,

ale Bullock (1968) pisze, że przypadki leniwców, które na nie włożą i potem spadają, są „dość częste”.

Być może zapytacie: to jak udaje im się przeżyć?

Właśnie dzięki swojej powolności. Ciągła senność i rozleniwienie pozwalają im ująć przed napaścią, bo jaguary, oceloty, harpie i anakondy po prostu ich nie zauważają. W sierści leniwca żyje glon, który przybiera brązową barwę w porze suchej i zieloną w porze deszczowej, dzięki czemu zwierzę wtapia się w otoczenie, czyli mchy i liście, i wygląda jak kopiec białych mrówek, gniazdo wiewiórek czy wręcz część drzewa.

Leniwiec trójpalczasty wiecie spokojne życie wegetarianina w idealnej harmonii ze swoim środowiskiem. *Na pysku stale ma dobroduszny uśmiech* – donosił Tirler (1966). Widziałem ten uśmiech na własne oczy. Nie jestem skłonny przypisywać zwierzętom ludzkich cech ani emocji, ale wiele razy podczas tamtego miesiąca w Brazylii, patrząc na odpoczywającego leniwca, miałem wrażenie, że widzę wiszącego do góry nogami, pogrążonego w medytacji jogina albo rozmodlonego pustelnika, a w każdym razie istotę myślącą, której życie wewnętrzne pozostaje poza zasięgiem naukowych metod badawczych.

Czasami nawet myliły mi się kierunki studiów. Wielu moich kolegów z religioznawstwa – nawiedzonych agnostyków, którzy bładzili w niewoli rozumu, tego tombaku dla intelektualistów – przypominało mi leniwca trójpalczastego; a z kolei leniwiec trójpalczasty, piękny przejaw cudu, jakim jest życie, przywodził mi na myśl Boga.

Nigdy nie miałem problemów z kolegami naukowcami. Naukowcy to sympatyczni ateści, pracowity, popijający piwo gatunek ludzi, którzy gdy nie zajmują się nauką, uprawiają seks, grają w szachy i baseball.

Byłem bardzo dobrym studentem, jeśli mogę sam tak o sobie powiedzieć. Przez cztery lata z rzędu należałem do czołówki w college'u Świętego Michała. Otrzymałem wszystkie możliwe nagrody przyznawane na wydziale zoologii. Jeśli natomiast nie dostałem żadnej na wydziale religioznawstwa, to tylko dlatego, że tam studentów się nie nagradza (nagród za studia w dziedzinie religii nie przyznają, jak wszystkim wiadomo, śmiertelnicy). Dostałbym też Medal Akademicki Gubernatora Generalnego, najwyższe odznaczenie dla absolwenta uniwersytetu w Toronto, którym odznaczono niemałą liczbę wybitnych Kanadyjczyków, gdyby nie pewien mięsożerny, rumiany chłopak z karkiem jak pień drzewa i niezdolnie pogodnym usposobieniem.

Wciąż mi trochę smutno z tego powodu. Jeśli wycierpiało się dużo w życiu, każda dodatkowa przykrość staje się nie do zniesienia, choć jest jednocześnie błahostką. Moje życie przypomina europejski obraz z przesłaniem *memento mori*; zawsze pojawia się obok mnie szczerząca zęby trupa czaszka, która przypomina mi, że ludzkie ambicje są niczym. Kpię sobie z niej. Patrzę na nią i mówię: Trafiłaś pod zły adres. Ty może nie wierzysz w życie, ale ja nie wierzę w śmierć. Spadaj! Czaszka chichocze i przysuwa się jeszcze bliżej, co mnie nie dziwi. Jeśli śmierć trzyma się tak blisko życia, to nie z powodu biologicznej konieczności – lecz z zawiści. Życie jest tak piękne, że śmierć się w nim zakochała zazdrosną, zaborczą miłością. Ono jednak przeskakuje lekko nad niebytem, gubiąc po drodze parę pozbawionych znaczenia drobiazgów, a przygnębienie jest zaledwie jak cień rzucany przez umykającą w dal chmurę. Rumiany chłopiec zdobył również względy komitetu przyznającego stypendium Rhodesa. Lubię go i mam nadzieję, że pobyt w Oksfordzie dużo mu

dał. Jeśli Lakszmi, bogini szczęścia i bogactwa, spojrzysz kiedyś na mnie łaskawie, Oxford jest piątym z miast na mojej liście, do których chciałbym przed śmiercią pojechać, po Mekce, Waranasi, Jerozolimie i Paryżu.

O moim życiu zawodowym nie mam nic do powiedzenia oprócz tego, że krawat to stryczek, i choć pętlę ma u góry, człowiek może na nim zawisnąć, jeśli nie będzie uważał.

Kocham Kanadę. Brakuje mi upałów Indii, tamtejszych potraw, jaszczurek na ścianach domu, bollywoodzkich musicali na srebrnym ekranie, krów wędrujących po ulicach, krakania wron, nawet rozmów o meczach krykieta, ale kocham Kanadę. To wspaniały kraj, choć o wiele za zimny, pełen wrażliwych, inteligentnych ludzi o okropnych fryzurach. W każdym razie nie mam po co wracać do Pudućeri.

Richard Parker jest ze mną cały czas. Nie zapomniałem o nim. Czy mogę powiedzieć, że za nim tęsknię? O tak. Tęsknię. Wciąż widuję go w snach. To przeważnie koszmary, ale koszmary naznaczone miłością. Tak to już jest z ludzkim sercem. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak mógł tak bezceremonialnie mnie porzucić, nie pożegnać się w żaden sposób, nawet się nie obejrzeć. Wciąż boli mnie to dotkliwie.

Lekarze i pielęgniarki w szpitalu w Meksyku byli dla mnie niewiarygodnie dobrzy. Pacjenci także. Chorzy na raka albo ofiary wypadków samochodowych, gdy tylko usłyszeli moją historię, kuśtykali i przyjeżdżali na wózkach inwalidzkich, żeby do mnie zajrzeć, razem z rodzinami, choć nie znali angielskiego, a ja hiszpańskiego. Uśmiechali się do mnie, ściskali mi dłoń, głaskali mnie po głowie, zostawiali na łóżku upominki w postaci czegoś do jedzenia albo ubrania. Ze wzruszenia dostawałem niekontrolowanych napadów śmiechu albo płaczu.

Po kilku dniach mogłem już wstać, nawet zrobić dwa, trzy kroki, mimo zawrotów głowy, nudności i ogólnego osłabienia. Badania wykazały, że miałem anemię i że poziom sodu we krwi był za wysoki, a potasu za niski. Mój organizm zatrzymywał wodę i straszliwie puchły mi nogi. Wyglądałem, jakby przeszczepiono mi nogi słonia. Mój mocz miał intensywny ciemnożółty kolor, niemal przechodzący w brąz. Po mniej więcej tygodniu mogłem już w miarę normalnie chodzić i nosić buty, choć niezasnurowane. Skóra mi się wygoiła, ale na ramionach i plecach pozostały blizny.

Gdy pierwszy raz odkręciłem kurek, głośny, obfity aż do marnotrawstwa strumień wody wywołał u mnie taki szok, że zacząłem bełkotać, nogi się pode mną ugięły i padłem zemdlony w ramiona pielęgniarki.

Kiedy po raz pierwszy poszedłem w Kanadzie do hinduskiej restauracji, zacząłem jeść palcami. Kelner spojrzał na mnie krytycznie i rzucił: „Dopiero co zeszło się ze statku, mam rację?”. Zbladłem. Moje palce, które sekundę wcześniej jak kubki smakowe badały potrawę, zanim trafi do ust, stały się pod jego spojrzeniem brudne. Zastygły w bezruchu jak przestępcy złapani na gorącym uczynku. Nie ośmieliłem się ich oblizać. Z poczuciem winy wytarłem je w serwetkę. On nie miał pojęcia, jak głęboko mnie zranił. Jego słowa były jak gwoździe wbijane w ciało. Wziąłem nóż i widelec. Wcześniej rzadko kiedy ich używałem. Dłonie mi drżały. *Sambar*, który jadłem, zupełnie stracił dla mnie smak.

ROZDZIAŁ 2

Mieszka w Scarborough. Jest szczupły i niski – ma nie więcej niż pięć stóp i pięć cali wzrostu. Ciemne włosy, ciemne oczy.

Siwieje na skroniach. Na pewno nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Ładna cera koloru kawy z mlekiem. Jest ciepła jesień, a mimo to, idąc na kolację, włożył obszerną zimową parkę z kapturem obszytym futrem. Twarz ma wyrazistą. Mówi szybko, żywo gestykulując. Nie uprawia towarzyskich pogaduszek. Przechodzi od razu do rzeczy.

ROZDZIAŁ 3

Moje imię pochodzi od nazwy basenu. To dość dziwne, zważywszy, że moi rodzice nigdy nie przepadali za wodą. Jednym z najwcześniejszych współpracowników ojca był Francis Adirubasamy. Stał się on bliskim przyjacielem rodziny. Nazywałem go Mamadzi; *mama* to tamilskie słowo na określenie stryja, a *dzi* jest przyrostkiem, stosowanym w Indiach, aby wyrazić szacunek i przywiązanie. W młodości, na długo przed moim narodzeniem, Mamadzi uprawiał pływanie sportowe, był mistrzem całych południowych Indii. Uwielbiał pływać. Mój brat Rawi powiedział mi kiedyś, że Mamadzi, kiedy się urodził, chciał nadal oddychać w wodzie, więc lekarz, aby uratować mu życie, chwycił go za nogi i zaczął kręcić nim młynka nad głową.

– I poskutkowało! – oświadczył Rawi, wymachując ręką jak szalony. – Mamadzi wykrztusił wodę i zaczął oddychać powietrzem, ale wtedy cała jego masa i krew poszły jakby w korpus. Dlatego teraz ma taką potężną pierś i takie chude nogi.

Uwierzyłem w tę opowieść. (Rawi był bezlitosnym kpiarzem. Po tym jak po raz pierwszy nazwał przy mnie Mamadziego „Panem Rybą”, podrzuciłem mu do łóżka skórkę od banana). Nawet po sześćdziesiątce, kiedy Mamadzi

trochę się już garbił, a kontrpołożnicza siła grawitacji zaczęła ściągać jego ciało w dół, co rano przepływał trzydzieści razy basen w aśramie Aurobinda.

Próbował nauczyć pływać moich rodziców, ale nie udało mu się ich nakłonić do niczego, co by wykraczało poza brodzenie po kolana w wodzie przy plaży czy żałosne machanie rękami, co jeśli ćwiczyli żabkę, wyglądało, jakby przedzierali się przez dżunglę, rozgarniając wysokie trawy, a jeśli był to kraul – jakby biegli w dół po stoku wzgórza, młóćąc rękami powietrze, żeby nie stracić równowagi. Rawi również nie przejawiał w tym kierunku entuzjazmu.

Żeby znaleźć chętnego i pilnego ucznia, Mamadži musiał zaczekać, aż na scenie pojawię się ja. W dniu, w którym według niego dojrzałem do pływania, co ku zaniepokojeniu matki nastąpiło w moje siódme urodziny, zabrał mnie na plażę, wskazał obiema rękami morze i oznajmił:

– To mój prezent dla ciebie.

– A potem o mało cię nie utopił – twierdziła później matka.

Pozostałem wierny mojemu wodnemu guru. Pod jego baczny okiem kładłem się na plaży, a następnie wierzgałem nogami i rozgarniałem rękami piasek, obracając głowę przy każdym ruchu, żeby złapać oddech. Musiałem wyglądać jak rozkapryszony smarkacz, który dostał dziwnego napadu złości i rzuca się jakby w zwolnionym tempie. Potem, już w wodzie, podtrzymywany przez Mamadżiego, dawałem z siebie wszystko. To było znacznie trudniejsze niż na lądzie. Ale Mamadži był cierpliwy i nie przestawał mnie zachęcać.

Kiedy uznał, że poczyniłem wystarczające postępy, zostawiliśmy roześmianych i rozkrzyczanych plażowiczów, biegających i ochlapujących się wodą, a wraz z nimi zielononiebieską toń i spienione fale przyboju, żeby

przenieść się na basen aśramu, dostępny za opłatą prostokąt o płaskiej, jak się należy, powierzchni wody.

Chodziłem tam z nim trzy razy w tygodniu przez całe moje dzieciństwo; był to nasz poniedziałkowy, środowy i piątkowy poranny rytuał, odprawiany z regularnością perfekcyjnie wykonywanych ruchów kraulem. Mam żywo w pamięci tego dostojnego starszego człowieka, który rozbierał się przy mnie do naga; jego ciało wyłaniało się, w miarę jak starannie zdejmował po kolei wszystkie części garderoby, a na końcu, czyniąc zadość przyzwoitości, odwracał się lekko i wciągał na siebie wspaniałe importowane sportowe kąpielówki. Wreszcie się prostował i był gotowy. Miało to w sobie niemal epicki wymiar. Nauka pływania, która z czasem przekształciła się w ćwiczenia pływackie, była wyczerpująca, ale czułem głęboką przyjemność, wykonując odpowiednie ruchy z coraz większą łatwością i coraz szybciej, raz za razem, niemal jak w transie hipnotycznym, aż woda z płynnego ołowiu zamieniała się w płynne światło.

Potem już sam wróciłem nad morze, jak po zakazaną przyjemność, przywoływany przez potężne bałwany, które rozbijały się o brzeg i zagarniały mnie już znacznie mniej zaborczo cofającymi się małymi falami niczym delikatne lassa zarzucane na ochoczego małego Hindusa.

W któreś urodziny, musiałem mieć wtedy ze trzynaście lat, ja z kolei podarowałem Mamadziem w prezencie dwie całe długości basenu w całkiem porządnym stylu motylkowym. Gdy skończyłem, byłem tak wyczerpany, że ledwie miałem siłę mu pomachać.

Oprócz pływania były też rozmowy o nim. Tata je uwielbiał. Im gwałtowniej protestował przeciwko pływaniu, tym bardziej go ono fascynowało. Gawędy o tym sporcie stanowiły wytnięcie od codziennych rozmów o

prowadzeniu zoo. Woda bez hipopotama była dla niego czymś znacznie ciekawszym i przyjemniejszym niż woda z hipopotamem.

Mamadži dzięki kolonialnym rządóm przez dwa lata studiował w Paryżu. Wspominał ten okres jako najwspanialszy w swoim życiu. Było to na początku lat trzydziestych, gdy Francuzi wciąż jeszcze w takim stopniu starali się nadać Pudućceri galijski charakter, jak Anglicy reszcie Indii charakter brytyjski. Nie pamiętam dokładnie, co konkretnie studiował Mamadži. Chyba coś związanego z handlem. Był wspaniałym gawędziarzem, ale nigdy nie wspominał o zajęciach na uczelni, wieży Eiffla, Luwrze ani o kafejkach przy Polach Elizejskich, jakby o tym zupełnie zapomniał. Wszystkie jego opowieści wiązały się z zawodami pływackimi i basenami. Był na przykład piscine Deligny, najstarszy basen w mieście, pochodzący jeszcze z 1796 roku, czyli zacumowana do Quai d'Orsay pod gołym niebem wielka napełniona wodą barka, gdzie rozgrywano zawody pływackie podczas olimpiady w 1900 roku. Żaden jednak z uzyskanych tam czasów nie został uznany przez Międzynarodową Federację Pływacką, ponieważ basen był o sześć metrów za długi. Woda pochodziła wprost z Sekwany, nie filtrowano jej ani nie podgrzewano.

– Była zimna i brudna – opowiadał Mamadži. – Po przepłynięciu przez cały Paryż stawała się wręcz ohydna. Potem jeszcze dokładali się do tego ludzie korzystający z basenu.

Konspiracyjnym szeptem, dodając szokujące szczegóły na poparcie swoich słów, zapewniał nas, że Francuzi mieli bardzo niskie standardy w sferze higieny osobistej.

– Basen Deligny był odrażający. Bain Royal, kolejny wychodek na Sekwanie, jeszcze gorszy. Z Deligny

przynajmniej wyławiali śnięte ryby.

Niemniej basen olimpijski to basen olimpijski, opromieniony nieśmiertelną sławą. Nawet jeśli Deligny był szambem, Mamadzi mówił o nim z czułym uśmiechem.

Trochę lepiej było w piscines Château-Landon, Rouvet czy du boulevard de la Gare. Były to kryte baseny otwarte przez cały rok. Wodę do nich dostarczano z pobliskich fabryk w postaci pary wytwarzanej przez silniki parowe, była więc czystsza i cieplejsza. Ale i te pływalnie były brudne i raczej zatłoczone.

– W wodzie było tyle smarków i plwocin, jakby pływało się wśród meduz – śmiał się Mamadzi.

Piscines Hébert, Ledru-Rollin i Butte-aux-Cailles były jasne, nowoczesne i przestronne, zasilane wodą ze studni artezyjskich. Wyznaczały one standardy dla basenów komunalnych. Był też, oczywiście, Piscine des Tourelles, inny wielki basen olimpijski, otwarty podczas drugich paryskich igrzysk w 1924 roku. No i jeszcze wiele, wiele innych.

Jednakże w oczach Mamadziego żaden basen nie mógł się równać z piscine Molitor. Była to chluba Paryża, a nawet całego cywilizowanego świata, jeśli chodzi o sporty wodne.

– W takim basenie z rozkoszą pływaliby bogowie. Działał tam najlepszy sportowy klub pływacki w Paryżu. Pływalnia składała się z dwóch basenów, krytego i odkrytego. Oba miały rozmiary małych oceanów. W krytym dwa tory były zawsze zarezerwowane dla pływaków, którzy chcieli pokonywać długie dystanse. Woda była tak czysta i przejrzysta, że dałoby się z niej zaparzyć poranną kawę. Basen otaczały drewniane dwupoziomowe przebieralnie, biało-niebieskie. Jeśli spojrzało się z nich w dół, widziało się wszystko i wszystkich. Pracownicy, utykający starsi mężczyźni, życzliwi, choć trochę szorstcy, oznaczali zajęte

kabiny, rysując na ich drzwiach znaki kredą. Żadne wrzaski ani wygłupy nie były w stanie wyprowadzić ich z równowagi. Z prysznica tryskała gorąca, rozkoszna woda. Na terenie pływalni były też sauna i sala gimnastyczna. Basen odkryty zamieniał się zimą w lodowisko. Mieli tam bar, kawiarnię, duży słoneczny taras, a nawet dwie małe plaże z prawdziwym piaskiem. Wszędzie kafelki, mosiądz i polerowane drewno. To było... to było...

Na wspomnienie tego jedyne, wyjątkowe basenu Mamadzi milkł; jego pamięć musiała pokonać zbyt duży dystans.

Mamadzi wspominał, ojciec popadał w rozmarzenie.

W takich to właśnie okolicznościach, gdy trzy lata po Rawim przyszedłem na świat jako ostatni, mile widziany członek rodziny, nazwano mnie Piscine Molitor Patel.

ROZDZIAŁ 4

Nasz pocziwy stary kraj był republiką zaledwie od siedmiu lat, gdy powiększył się o niewielkie terytorium. Pudućeri zostało przyłączone do Indii pierwszego listopada 1954 roku. Kolejne osiągnięcia w rozwoju społecznym pociągały za sobą następne. Część terenów ogrodu botanicznego w Pudućeri wydzierżawiono bezpłatnie, żeby stworzyć atrakcyjne warunki do rozwoju przedsiębiorczości, i oto – patrzcie i podziwiajcie – w Indiach powstało nowe zoo, zaprojektowane i prowadzone według najnowocześniejszych naukowych wytycznych.

Było to wielkie zoo, obejmujące mnóstwo akrów ziemi, na tyle duże, że aby zwiedzić je całe, trzeba było wsiąść do kolejki, choć w miarę jak dorastałem, wydawało mi się coraz

mniejsze i mniejsze, tak jak sama kolejka. Teraz jest już takie małe, że mieści się w mojej głowie. Proszę sobie wyobrazić tę gorącą, wilgotną oazę, skąpaną w blasku słońca i aż kipiącą jaskrawymi barwami. Trwa tam nieustająca feeria kwiatów. Rośnie mnóstwo drzew, krzewów i pnączy – figowce pagodowe, poincjany królewskie, „płomienie lasu”, wełniaki, jakarandy, mangowce, bochenkowce i wiele innych, których nazw człowiek nigdy by nie poznał, gdyby nie postawiono przed nimi tabliczek. Są ławki. Na tych ławkach widuje się wyciągniętych wygodnie śpiących ludzi albo zakochane pary, które zerkają na siebie nieśmiało i trzepoczą dłońmi, gdy dotkną się przypadkiem. Nagle wśród wysokich, strzelistych drzew przed sobą dostrzeżasz dwie żyrafy, które przyglądają ci się spokojnie. Taki widok to nie ostatnia niespodzianka. Chwilę później wzdrygasz się, bo dochodzi do ciebie wściekły jazgot wielkiego stada małąp, przez który mogą się przebić jedynie przenikliwe okrzyki egzotycznych ptaków. Dochodzisz do kołowrotu przy wejściu. Z roztargnieniem płacisz jakąś drobną sumę za bilet. Wchodzisz. Widzisz niski mur. Co może kryć się za niskim murem? Na pewno nie płytka fosa z dwoma wielkimi indyjskimi nosorożcami. Ale to na nią właśnie się natykasz. A kiedy odwracasz głowę, widzisz słonia, który był tam cały czas, tak wielki, że go nie zauważyłeś. I uświadamiasz sobie, że to, co pływa w wodzie, to hipopotamy. Im uważniej patrzysz, tym więcej dostrzeżasz. Jesteś w Zootown!

Przed przeprowadzką do Pudućeri ojciec prowadził wielki hotel w Madrasie. Nieustające zainteresowanie zwierzętami doprowadziło do tego, że zajął się prowadzeniem zoo. Można by pomyśleć: naturalne przejście, od obsługi ludzi do obsługi zwierząt. Nie za bardzo. Pod wieloma względami prowadzenie zoo to jak najgorszy koszmar

hotelarza. Proszę pomyśleć: klienci nigdy nie wychodzą z numeru; wymagają nie tylko zakwaterowania, ale też obsługi i pełnego wyżywienia; przyjmują niekończący się korowód gości, niektórych bardzo hałaśliwych i niesfornych. Trzeba czekać, aż wyjdą na taras – by się tak wyrazić – żeby wysprzątać ich kwaterę, a potem trzeba czekać, aż znudzą się widokiem i wrócą do środka, żeby z kolei wysprzątać taras; a tego sprzątania jest dużo, bo klienci są niechlujni jak pijacy. Każdy na innej diecie, stale skarży się na obsługę, że jest za wolna, i nigdy, przenigdy nie daje napiwków. Mówiąc szczerze, wielu z nich to dewianci seksualni, którzy albo tłumią naturalne popędy i ni stąd, ni zowąd ulegają napadom dzikich żądz, albo są jawnie zdeprawowani, co w obu przypadkach naraża kierownictwo na nieokiełznane orgie seksualne albo bezwstydnne akty kazirodztwa. Czy takich klientów chciałoby się gościć w swoim hotelu? Zoo w Pudućceri dostarczało czasami powodów do radości panu Santośowi Patelowi, założycielowi, właścicielowi, dyrektorowi, szefowi pięćdziesięciotrzyosobowego personelu i mojemu ojcu w jednej osobie, ale też często przyprawiało go o ból głowy.

Dla mnie był to prawdziwy raj na ziemi. Z zoo wiązały się moje najlepsze wspomnienia z okresu dzieciństwa. Żyłem sobie jak książętko. Jaki syn maharadży ma do dyspozycji tak wielki, luksusowy plac zabaw? W jakim pałacu jest taka menażeria? W dzieciństwie zamiast budzika budziło mnie stado lwów. Nie były to szwajcarskie zegarki, ale ryczały nieodmiennie, unosząc wysoko łby, gdzieś między wpół do szóstej a szóstą rano. Śniadaniu towarzyszyły wrzaski i piski wyjców, gwarków i papug kakadu. Wychodziłem do szkoły odprowadzany czułym spojrzeniem nie tylko matki, ale także bystrookich wydr, potężnego bizona amerykańskiego

oraz przeciągających się i ziewających orangutanów. Przebiegając pod niektórymi drzewami, czujnie patrzyłem w górę, żeby przypadkiem nie narobił na mnie paw. Już lepiej było biec pod drzewami, na których żyły wielkie kolonie nietoperzy owocożernych; o tak wczesnej porze z ich strony mogłem się spodziewać jedynie kakofonicznych koncertów, na które składały się skrzeki i piski. W drodze do wyjścia przystawałem czasami przy terrariach, żeby popatrzeć na lśniące, jakby glazurowane żaby, jaskrawozielone, żółto-granatowe albo brązowo-groszkowe. A czasami moją uwagę przykuwały ptaki: różowe flamingi, czarne łabędzie, kazuary jednokoralowe albo coś mniejszego, srebrne gołąbki diamentowe, szpaki przyławkowe o lśniącem upierzeniu, papużki nierozłączki o brzaskwiniowych łebkach, konury czarnogłowe i pomarańczowe papużki długoogonowe. Nie było co liczyć, że wstaną już słonie, foki, wielkie koty czy niedźwiedzie, ale pawiany, makaki, mangaby, gibony, jelenie, tapiiry, lamy, żyrafy i mangusty budziły się wcześniej. Każdego ranka, zanim wyszedłem za główną bramę, żegnały mnie widoki i wrażenia jednocześnie całkiem zwyczajne i niezapomniane: piramida żółwi, opalizujący pysk mandryla, stateczne milczenie żyrafy, wielka żółtawa rozdziawiona paszcza hipopotama, ara czepiająca się dziobem i pazurami ogrodzenia z siatki, powitalny klekot butodzioba, otepiało-pożądliwe spojrzenie wielbłąda. Wszystkie te cuda rejestrowałem przelotnie, spiesząc się do szkoły. Dopiero po lekcjach odkrywałem spokojnie, jakie to uczucie, gdy obszukuje cię słoń w nadziei znalezienia ukrytego w kieszeni orzecha, a orangutan przeczesuje ci włosy, poszukując kleszcza na przekąskę i posapując z zawodem, gdy okazuje się, że spiżarnia na twojej głowie jest beznadziejnie pusta. Szkoda, że nie potrafię oddać perfekcji ruchów, z jaką foka

wślizguje się do wody, czepiak przeskakuje z gałęzi na gałąź, a lew zwyczajnie obraca głowę. Ale język w takich okolicznościach zawodzi. Jeśli chce się to wszystko poczuć, trzeba zdać się na wyobraźnię.

Najlepszą porą na obserwowanie zwierząt w zoo, tak samo jak w środowisku naturalnym, są wschód i zachód słońca. Wtedy właśnie ożywia się większość z nich. Budzą się, opuszczają kryjówki i powoli zmierzają do wodopoju. Popisują się, demonstrując swoje walory. Śpiewają swoje pieśni. Zwracają się ku sobie i odprawiają rytuały. Tego, kto wyteży wzrok i słuch, czeka sowita nagroda. Niezliczenie wiele godzin obserwowałem w milczeniu te wyszukane przejawy życia, które stanowią ozdobę naszej planety. To coś tak olśniewającego, wymownego, zadziwiającego i subtelnego, że oszałamia wszystkie zmysły.

Słyszałem niemal tyle samo bzdur o zoo, ile o Bogu i religii. Pełni dobrej woli, ale mało zorientowani ludzie sądzą, że zwierzęta na wolności są „szczęśliwe”, bo „wolne”. Takie osoby mają na myśli zwykle duże, piękne drapieżniki, lwa albo geparda (życie gnu albo mrównika mało komu wydaje się ekscytujące). Wyobrażają sobie, że takie dzikie zwierzę wyrusza sawanną na poobiedni spacer po pożarciu ofiary, która z pokorą przyjęła swój los, albo urządza sobie jogging, aby po wielkim obżarstwie zadbać o smukłą sylwetkę. Widzą oczami wyobraźni, jak z dumną i czułością opiekuje się potomstwem i w rodzinnym gronie podziwia zachód słońca, leżąc na gałęzi drzewa i pomrukując z zadowoleniem. Wydaje im się, że życie dzikiego zwierzęcia jest proste, szlachetne i celowe. Potem zwierzę zostaje schwytane przez złych ludzi i zamknięte w ciasnej klatce niczym w celi. I jest ogromnie „nieszczęśliwe”. Straszliwie tęskni za „wolnością” i robi wszystko, aby uciec z niewoli. Zbyt długo pozbawione

„wolności” staje się cieniem samego siebie, a jego duch zostaje złamany. Tak niektórzy myślą.

Ale w rzeczywistości sprawa wygląda inaczej.

Zwierzęta w warunkach naturalnych wiodą życie oparte na przymusie i konieczności, podlegające sztywnej hierarchii społecznej, w środowisku, gdzie strachu jest dużo, a pożywienia mało, gdzie stale należy bronić swojego terytorium i wiecznie znosić pasożyty. Co w takim kontekście znaczy wolność? Dziko żyjące zwierzęta nigdy nie są tak naprawdę wolne, ani w kategoriach przestrzeni, ani czasu, ani relacji osobniczych. Teoretycznie – bo jest taka fizyczna możliwość – mogłyby wziąć nogi za pas i uciec, przełamując konwencje społeczne i bariery obowiązujące w swoim gatunku. Ale coś takiego zdarza się raczej przedstawicielom naszego gatunku, gdy, powiedzmy, sklepikarz, obarczony zwyczajowymi zobowiązaniami – rodzinnymi, towarzyskimi, społecznymi – rzuca wszystko i odchodzi w siną dal z garścią drobniaków w kieszeniach i tym, co ma na sobie, aby rozpocząć gdzie indziej nowe życie. Jeśli człowiek, najśmielsze i najinteligentniejsze ze wszystkich stworzeń, nie wędruje z miejsca na miejsce, wszędzie obcy, z nikim ani niczym niezwiązany, to dlaczego miałyby tak postępować zwierzę, które z natury jest znacznie bardziej konserwatywne? Bo zwierzęta są konserwatystami, a można by nawet powiedzieć – reakcjonistami. Wytrącają je z równowagi najmniejsze zmiany. Zwierzęta chcą, żeby wszystko było tak, jak jest, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Zdecydowanie nie życzą sobie niespodzianek. Przejawia się to wyraźnie w ich zachowaniach terytorialnych. Zwierzę ma swoją przestrzeń, czy to w zoo, czy w naturalnych warunkach, i porusza się po niej na takiej samej zasadzie, na jakiej po szachownicy poruszają się figury szachowe – jest w tym pewna metoda. W

poczynaniach jaszczurki, niedźwiedzia czy jelenia nie ma nic przypadkowego, żadnej „wolności”, tak samo jak w ruchach skoczka na szachownicy. W obu przypadkach jest pewna prawidłowość i cel. W warunkach naturalnych zwierzęta trzymają się tych samych ścieżek, z sezonu na sezon, dla tych samych istotnych powodów. Jeśli zwierzę w zoo o zwykłej porze nie przebywa w zwykłym miejscu w typowej dla siebie pozycji, to musi coś znaczyć. Może to być spowodowane nawet drobną zmianą w jego otoczeniu. Zostawiony przez pracownika zwinięty wąż do podlewania wygląda groźnie. Kałuża przybrała niepokojący kształt. Drabina rzuca cień. Ale niewykluczone, że chodzi o coś więcej. W najgorszym wypadku jest to oznaka czegoś, czego dyrektor zoo boi się najbardziej: symptom choroby, zwiastun kłopotów, sygnał, żeby uważnie obejrzeć odchody, wypytać dozorcę, wezwać weterynarza. A wszystko dlatego, że bocian stoi nie tam, gdzie zazwyczaj.

Ale pozwólcie, że przez chwilę zajmę się tylko jednym aspektem tego zagadnienia.

Gdybyście zajechali przed czyjś dom, kopniakiem otworzyli drzwi frontowe, wypędzili na ulicę mieszkających w środku ludzi i zawołali: „Idźcie sobie! Jesteście wolni! Wolni jak ptaki! No, dalej!” – to myślicie, że ci krzyczeliby i tańczyli z radości? Na pewno nie. Ptaki wcale nie są wolne. A wyrzuceni na bruk nieszczęśnicy wyjąkaliby tylko: „Jakim prawem nas wypędzasz?! To nasz dom. Nasza własność. Mieszkamy w nim od lat. Zaraz wezwiemy policję, ty draniu!”.

Czy nie mówi się: „Nie ma jak w domu”? Tak z pewnością odczuwają zwierzęta. Mają one silny instynkt terytorialny. I to jest do nich klucz. Tylko znajomość terenu pozwala im realizować dwa bezwzględne imperatywy, jakimi są unikanie

wrogów oraz zdobywanie pożywienia i wody. Wybieg w zoo, jeśli tylko odpowiada warunkom naturalnym – czy jest to klatka, zagłębienie terenu, otoczona fosą wyspa, zagroda, terrarium, ptaszarnia czy akwarium – to po prostu kolejne terytorium, które różni się od innych jedynie rozmiarem i bliskością siedliska człowieka. To, że jest mniejsze niż w naturze, wynika z pewnych uwarunkowań. Terytoria w naturze są większe nie dlatego, że tak się zwierzętom podoba, ale z konieczności. W zoo robimy dla zwierząt to samo co dla siebie w domach: skupiamy na małej przestrzeni to, co w naturze jest rozproszone na większym obszarze. Kiedyś tu mieliśmy jaskinię, tam rzekę, milę dalej tereny łowieckie, niedaleko nich punkt obserwacyjny, jeszcze gdzieś indziej krzaczki z jagodami – a wszędzie czyhały lwy, węże, mrówki, pijawki i sumak jadowity; teraz rzeka płynie z kranów w zasięgu ręki, możemy myć się tam, gdzie śpimy, jeść, gdzie sobie gotujemy, otoczyć się murem obronnym i utrzymywać na swoim terytorium czystość i ciepło. Dom to takie skondensowane siedlisko, w którym zaspokajamy nasze potrzeby w sposób bezpieczny i wygodny. W przypadku zwierzęcia podobnym siedliskiem jest właściwie urządzony wybieg (co ważne, bez kominka i jego odpowiedników, obecnych we wszelkich ludzkich siedzibach). Jeśli zwierzę ma tam wszystko, czego potrzeba mu do życia – stanowisko obserwacyjne, legowisko, teren łowiecki albo żerowisko i dostęp do wody, żeby mogło się napić, umyć i oporządzić – i nie musi wyprawiać się nigdzie na polowanie, bo dostaje jedzenie sześć dni w tygodniu, to obejmie w posiadanie swoją przestrzeń w zoo na takiej samej zasadzie, na jakiej objęłoby nowy teren na swobodzie, zbada ją i oznakuje w sposób typowy dla swojego gatunku, na przykład moczem. Gdy dopełni rytuału objęcia w posiadanie i już się osiedli, nie

będzie się tam czuło jak niepewny lokator, a już na pewno nie więzień, ale raczej jak właściciel ziemski, demonstrując takie same zachowania na wybiegu, jak na swoim terytorium w naturalnych warunkach, i broniąc go zaciekle w razie ataku. Wybieg nie jest więc dla zwierzęcia ani gorszy, ani lepszy od terytorium na swobodzie; dopóki spełnia jego potrzeby, siedlisko, naturalne czy sztuczne, jest po prostu – bez jakiegokolwiek oceny – czymś danym jak cętki na sierści pantery. Można by nawet się zastanawiać, czy gdyby zwierzę było obdarzone inteligencją i potrafiło dokonać świadomego wyboru, nie wybrałoby właśnie życia w zoo, ponieważ w zoo, inaczej niż w warunkach naturalnych, nie występują pasożyty ani wrogowie, za to jest pod dostatkiem pożywienia, którego w naturalnych warunkach jest stosunkowo mało albo wręcz go brakuje. Pomyślcie sami. Czy wolelibyście mieszkać w Ritzu, z pełną obsługą i nieograniczonym dostępem do opieki lekarskiej, czy być bezdomnym, który nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc? Zwierzęta jednak nie są zdolne do takich porównań. W ramach ograniczeń, jakie narzuca im własna natura, zadowolają się tym, co mają do dyspozycji.

Dobre zoo to miejsce, gdzie panuje starannie wypracowane *status quo*: tam gdzie zwierzę za pomocą moczu i innych wydzielin mówi nam: „Nie wchodź tu!”, my za pomocą barier mówimy mu: „Nie wychodź stamtąd!”. Przy takich warunkach pokojowego współistnienia wszystkie zwierzęta są zadowolone, my się odprężamy i możemy przyglądać się sobie nawzajem.

W literaturze przedmiotu spotyka się niezliczone przykłady zwierząt, które mogły uciec, ale tego nie zrobiły, albo uciekły, a potem wróciły. Znamy przypadek szympansa, którego klatki nie zamknięto na klucz i sama się otworzyła.

Zaniepokojona małpa zaczęła wrzeszczeć i próbowała zatrzasać drzwi – waliła nimi, powodując straszliwy hałas – aż wreszcie strażnik, zaalarmowany przez jednego ze zwiedzających, przyszedł z pomocą i załatwił sprawę. Stado sarn w europejskim zoo wyszło z zagrody, gdy ktoś zostawił bramę otwartą. Przestraszone obecnością zwiedzających, zwierzęta uciekły do pobliskiego lasu, w którym żyło już jedno stado dzikich sarn i było miejsce dla drugiego. Mimo to sarny z zoo szybko wróciły na swój wybieg. W innym ogrodzie zoologicznym pracownik szedł rano do pracy, niosąc deski, gdy, ku swojemu przerażeniu, z porannej mgły wyłonił się niedźwiedź i pewnym krokiem ruszył w jego stronę. Robotnik w jednej chwili wypuścił drewno z rąk i rzucił się do ucieczki. Personel zoo natychmiast wszczął poszukiwania zbiegłego zwierzęcia. Znaleziono je z powrotem na wybiegu: niedźwiedź wrócił tą samą drogą, którą się wydostał, czyli wspinając się nad fosą po przewróconym drzewie. Uznano, że przestraszył go łomot desek rzuconych przez pracownika zoo.

Nie będę jednak obstawał przy swoim. Nie zamierzam występować w obronie ogrodów zoologicznych. Możecie zamknąć je wszystkie, jeśli chcecie (i oby niedobitki dzikich gatunków przetrwały w tym, co pozostało jeszcze z dzikiej przyrody). Wiem, że ludzie nie patrzą już przychylnym okiem na ogrody zoologiczne. Podobnie jest z religią. I jedno, i drugie popada w niełaskę z powodu złudzeń na temat wolności.

Zoo w Pudućceri już nie istnieje. Fosi zasypano, klatki rozebrano. Wędruję teraz po nim w jedynym miejscu, w którym przetrwało, w mojej pamięci.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).